

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

SIEROTY NA POKŁOSIU.

— Pójdźmy, braciszka! Pan Bóg dał żniwo,
A z nim przednówek we wsi skończony,
Ludzie też wszyscy spieszą co żywo,
Z pól zbierać plony, —
I nam nie wzbronią na obcej roli,
Wsparcia w niedoli.

Z pod dłoni żeńców na wielkim lanie
Niejeden kłosek wymknie się zdradnie,
I obok snopa sam pozostanie,
Lub z woza spadnie:
To nam wystarczy na nasze zbiory,
Wśród żniwa pory.

Dar ten rzucony prawicą Bożą,
Co w swej hojności wielką i świętą,
Jak o tych ptaszkach, co też nie orzą,
O nas pamięta.
On chętnie wspiera przez plon swój złoty
Wdowy, sieroty.

Garsteczka ziarna, to taka fraszka,
Dla tych, co mają ich tak obficie,
A dla nędzarza, jak i dla ptaszka,
Stanowi życie.

Nikt też nie wzbrania słowy srogiemi
Zbierać ich z ziemi.

Więc wśród wesółych pieśni odgłosów,
Gdy każdy z żeńców wróci do chatki
I nam też wolno z wiązeczką kłosów
Wrócić do matki —
I przy ubogim znaleźć ognisku
Spokój w ucisku.

Biedna matula! dziś na swe dzieci,
Ze łzami w oczach patrzy żałośnie,
Ale i dla nas wkrótce czas zleci,
Każde wyrośnie
I własną pracą, co daj o Boże!
Jej dopomoże.

Ja będę kiedyś raźna dziewczuszka,
Łatwo zajęcie we wsi wyproszę,
A Janka wezmą choć na pastuszką —
I będą grosze.
Nie będzie przy tej pracy zapłacie
Już nędzy w chacie.

Lecz dziś zbierajmy kłoski cierpliwie.
Da Bóg, że dola zmieni się czarna
I będziem kiedyś na własnej niwie
Plenne siał ziarna.

Wszak On pozwala wszystkim w potrzebie
Ojcem zwać siebie.



Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy).

Zapewnienie przyjaźni ze strony nieznajomego człowieka zbudziło nieufność Jasia. Zaczął się lękać i obejrzał się trwożnym wzrokiem dookoła.

Znajdowali się już na bulwarze, lecz z powodu wczesnej pory, zrzadko tylko ukazywali się przechodnie.

— Powiedz mi, czy z panem Kalińskim łączą cię jakie węzły pokrewieństwa? — zapytał znowu nieznajomy.

Zdziwienie Jasia spotęgowało się jeszcze bardziej. Skąd nieznajomy pan wiedział nazwisko jego i jego opiekuna?

— Nie, panie — odpowiedział Jasio bez namysłu — ale pomimo to kocham pana Kalińskiego tak serdecznie, jakby był moim drugim ojcem. Jest dla mnie taki dobry, wszystko jemu zawdzięczam.

— Takie przywiązanie zasługuje na pochwałę — odparł nieznajomy. — Pięknie to z twojej strony, że umiesz oceniać dobrodziejstwa, jakie ci kto wyświadcza.

— O! pan Kaliński jest dla mnie taki dobry.

— Wszystko to bardzo pięknie, przemówił znowu nieznajomy, wierzę, że kochasz pana Kalińskiego, ale powiedz mi, czy pragniesz zobaczyć ojca?

Jasio zadrżał, dwie wielkie łzy stoczyły się po jego policzkach.

— Czy pragnę zobaczyć mego drogiego ojca? — wyszeptał wzruszony — o! codziennie gorąco proszę o to Boga.

— Przebacz mi, że obudziłem w twojej duszy te smutne wspomnienia, ale chciałem się przekonać, czy nie zapomniałeś o ojcu. A teraz posłuchaj mnie, jestem bogaty, mogę cię otoczyć zbytkiem i zapewnić ci takie same wygody, jakimi cię otacza pan Kaliński. Chodź ze mną, a daję ci słowo, że za dwa tygodnie znajdziesz się w objęciach ojca.

— Jakto? — zawołał Jasio — miałbym iść z panem bez pozwolenia pana Kalińskiego? Jeśli pan masz pewne jakie wiadomości o moim ojcu to pójdź ze mną do mego opiekuna!

Przy tych słowach łzy zabłyśły w oczach chłopca.

— Pójdź ze mną! — namawiał nieznajomy.

Chłopczyk wahał się; na samą myśl, że zobaczy od tak dawna niewidzianego ojca, drżał ze wzruszenia.

Nieznajomy spoglądał na niego uważnie.

— Dobrze, pójdę z panem — rzekł po chwili milczenia Jasio — tylko zapytam o pozwolenie pana Kalińskiego.

— Nie, na to się nie zgodzę — przerwał mu niecierpliwie nieznajomy — jeżeli chcesz zobaczyć ojca, to musisz iść ze mną natychmiast, nie namyślając się ani chwili.

Jakieś tajemne przecucie ostrzegło Jasia, aby nie słuchał namowy nieznajomego.

— Nie! — zawołał z mocą — nie pójdę z panem. Ja się pana boję.

I zanim nieznajomy zdolał cośkolwiek odpowiedzieć, Jasio zaczął biec co mu sił starczyło. Gdy się obejrzał, nieznajomy, w przystępie bezsilnego gniewu, wygrażał mu kijem, lecz Jasio już go się nie lękał.

Gdy zmęczony i spocony wpadł do domu, pan Kaliński, który miał tego dnia jakieś wczesne odwiedziny, rzekł:

— Dobrze, że przychodzisz, mój chłopcze, gdyż byłem o ciebie już niespokojny. Gdzieś siedziałeś tak długo?

Gdy Jasio opowiedział o swym spotkaniu z nieznajomym, pan Kaliński zawołał:

— Niegodziwy jakiś człowiek! Może jakiś wędrowny akrobata, który chciał cię porwać, abyś pokazywał sztuki. Nie pozwól ci już teraz wychodzić samemu, mój Jasiu, chociaż dowiodłeś dziś, że masz dużo przytomności umysłu.

V.

Biaława mgła, jak lekka gazowa zasłona, unosiła się nad falami wód morza Śródziemnego, przetykana gdzieś tam różowymi brząskami jutrenki. Słońce niebawem miało się ukazać na horyzoncie, smugi purpurowego światła na wschodzie oznajmiały, że zjawia się ono w całym blasku swej wspaniałości. Droga wiodącą z Nicei do Genui toczył się odkryty powozik, zaprzężony w parę dobrych koni. W powozie siedział pan Kaliński z Jasiem.

— Zjemy śniadanie w Mentonie — powiedział pan Kaliński do Jasia — obiad zaś w innej miejscowości, gdzie przenocujemy, a nazajutrz pojedziemy do Genui. Chcę, abyś zobaczył wszystko, co jest godne widzenia na tem czarującym wybrzeżu morza Śródziemnego.

Rzeczywiście droga, którą jechali, może się zaliczać do najpiękniejszych w Europie, gdyż składają się na to trzy główne warunki pięknej przyrody: morze, niebo i góry. Podróżny widzi z jednej strony morze Śródziemne, z drugiej góry Apenińskie, ze śnieżnymi szczytami, a nad głową cudowny błękit włoskiego nieba.

Na wybrzeżu widać mnóstwo pałacików i domków. Otaczają je czarodziejskie ogrody, w których stuletnie drzewa mieszają się z grupami rzadkich krzewów i roślin, hodowanych z nadzwyczajną starannością. Łąki, klomby kwiatowe, posagi, kaskady i grotty upiększają te pańskie siedziby.

— W Genui nie zabawimy zbyt długo — rzekł pan Kaliński — pozostaniemy tam tylko dni kilka, aby zwiedzić miasto, a ztamtąd popłyniemy do Neapolu.

— Do Neapolu! — zawołał z radością Jasio, który uczył się już geografii i wiedział, że Neapol zalicza się do najpiękniejszych miast włoskich — ach! jak ja się cieszę z tego.

Pan Kaliński uśmiechnął się, spoglądając na rozpromienioną twarzyczkę chłopca. Ale to był dopiero początek zachwytów Jasia.

Podziw jego nie miał granic, gdy zobaczył wspaniałe miasto Genuę, marmurowe pałace, prześliczne budowle, ludzi rozmaitych narodowości i mnóstwo pamiątek historycznych, których znaczenie pan Kaliński starał mu się wytłumażyć jak najprzystępniej.

W istocie Genua jest wyjątkowo pięknym miastem. Zbudowana amfiteatralnie ponad morzem, składa się z dwóch dzielnic, dawnej i nowej; tu pałace i domy toną w zieleni ogrodów, rozrzuconych bezładnie, tam, w starej dzielnicy miasta, wiją się uliczki strome, kręte, raczej schody wykute w skale, łączące się w górę za pomocą łuków lub sklepień marmurowanych. Uliczki te są tak wąskie i ciemne, że chyba nigdy do nich nie przenikają promienie słońca.

Trudno wyobrazić sobie coś bardziej wspaniałego, jak wejścia do tamtejszych pałaców; obszerne przedsionki wykładane są marmurem, porfirem i jaspisem, olbrzymie dziedzińce otaczają kolumnady i krużganki.

Pan Kaliński, który znał już poprzednio Genuę, pokazywał Jasiovi kościoły, których jest ze sto w tem mieście, zwiedzał z nim bibliotekę i galerię obrazów, był z nim nawet w szkole żeglugi, która niezmiernie zaciekała Jasia.

Genua jest miastem handlowem i przemysłowym — mówił do Jasia jego zacny opiekun — posiada wiele fabryk, a port jej należy do najlepszych i najobszerniejszych, przez rok przepływa tu ze siedem tysięcy okrętów.

— Czy to być może, — zawołał Jas zdziwiony.

— Tak, tak, moje dziecko, ruch handlowy w tem mieście jest bardzo wielki.

Rozmawiając w ten sposób, postępowali właśnie wąską, uliczką w starej dzielnicy miasta.

Wtem spostrzegli, że z przeciwnej strony zbliżał się ku nim jakiś orszak. Chcąc przepuścić tych ludzi, musieli się wcisnąć we framugę drzwi. Była to gromadka osób, zdążająca z małym dzieciątkiem do chrztu do kościoła. Kobiety ubrane były w strój narodowy włoski: białe, haftowane welony upięte na czarnych włosach, spływały im na plecy; podtrzymywały je we włosach duże srebrne szpilki.

— Jakie to śliczne stroje! — zawołał Jas — chodźmy, aby im się dłużej przypatrzeć.

Pan Kaliński zaprowadził Jasia na marmurowy taras, z którego widać cały port Genui.

— Szkoda, że nie umiem malować tak jak pan! — zawołał Jas ze smutkiem zaraz-bym odmalował taki ładny widok!

— Na ten raz ja cię wyręcę — rzekł żartobliwie pan Kaliński — jeszcze za mało umiesz, abyś mógł to wiernie odmalować.

Rzekłszy to, ochoczo zabrał się do pracy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Odważny chłopiec.

(Ciąg dalszy.)

Iwanek w milczeniu uściśnął jego kolana, jakby się z nim żegnał na zawsze i zszedłszy po kamieniach, rzucił się w gwałtownie wezbraną wodę. Starał się płynąć ku drugiemu brzegowi w kierunku ukosnym przeciw fali, ale fale rwały go i pchały z taką siłą, że biednym chłopcem rzucały jak piłką. Prąd wody porwał go, chłopak widząc to, już z nim nie walczył, poddał się mu, tylko wciąż posuwał się ku drugiemu brzegowi. Gdyby był sam, jakoś by to szło łatwiej, ale sznury ciążyły mu bardzo i utrudniały pływanie.

Już dotarł do połowy drogi, ale zarazem wyczerpał wszystkie siły. Osłabł i tylko siłą woli wstrzymywał się od wyciągnięcia rąk do góry. — Tymczasem chatę matki woda zalała już po kolana. Biedna kobieta wzięła trochę rzeczy, jakie miała i wraz z córką schroniła się na dach. Zaledwie na nim stanęła, ujrzała w wodzie Iwanka płynącego ku jej chacie. W jednej chwili zrozumiała poświęcenie syna. Zapomniała o własnym nieszczęściu, a całą myśl wyteżyła w stronę dziecka. Widziała i odczuwała

że on słabnie, że za chwil parę może utonąć, więc zbiegła szybko porwała nóż, pocięła nim płachtę jedną i drugą, związała mocno ze sobą długie pocięte pasy, do ostatniego przytwierdziła dosyć duży kamień i rzuciła go całą siłą ku Iwanowi. Czas był najwyższy, bo mdlejący już z osłabienia Iwanek, przestawał walczyć z prądem. Właśnie podniósł oczy w stronę chaty, chcąc ją choć wzrokiem pożegnać na zawsze, gdy njrzał lecący ku sobie długi pas. Porwał za koniec, uczepił się go kurczowo, zamknął oczy i zdał się na wolę Bożą. Teraz matka, czując, że w jej rękach spoczywa życie całej rodziny, wyteżyła siły i wraz z Mokryną ciągnęły szybko i silnie Iwanka zawieszono go na pasie.

Kilka chwil tej walki, a Iwanek zmęczony, prawie nieprzytomny, znalazł się w chacie na wpół zalanej wodą. Matka nie myśląc o własnym bezpieczeństwie, wciągnęła go na strych i tu położyła.

— Odpocznij trochę.

Iwanek przyknuł oczy, w głowie mu szumiało, leżał bez pamięci. Nagle zerwał się i zawołał:

— Czy woda się podnosi?

— W jednej mierze stoi.

— A ja nie mam siły was wyciągnąć i uratować.

— Leż chłopcze, może Bóg nas uratuje.

— Obwiążcie się sznurami i mnie także, ja chwilę odpocznę i popłyniemy z powrotem. Teraz będzie łatwo, lekko, będą nas ciągnąć i wyciągną.

— Dobrze — rzekła matka — leż, a ja tymczasem obwiążę sznurem Mokryną i siebie, a za chwilę popłyniemy.

Iwanek znówu przyknuł powieki, ale choć matka czekała gotowa do przeprawy, on już nie odemknął oczu i leżał bezsilny, czasem tylko zrywał się, ale wnet upadał. Wówczas matka wyprowadziła Mokryną na brzeg, pobłogosławiła ją i rzekła:

— Płyn dziecko, niech Bóg czuwa nad tobą. Powiedz ludziom na brzegu, że ja Iwanka opuścić nie mogę, a on sił nie ma płynąć; zanim by go sznurem wyciągnięto, woda zalałaby bezwładnego. Bądź zdrowa.

Dziewczę uklękło przed matką i puściło się w wodę. Ciągnięta silną dłonią leśniczego i kilku wieśniaków, w krótkim czasie stanęła na brzegu. Leśniczy dowiedziawszy się o stanie Iwanka, spuścił smutnie głowę i wpatrzył się w brzeg. Woda stała ciągle w jednej mierze. Minęło kilkanaście minut wyczekiwania a woda nie podniosła się ani za włos. W Piotrowej chacie było cicho.

Nadaremnie Mokrysia i leśniczy wyteżali wzrok w tamtą stronę. Iwanek leżał w gorączce, a siedząca nad nim matka zapomniiała o grożącym im niebezpieczeństwie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



LAMIGŁOWKI.

I.

Książęcy jej tytuł służy,
Z rodu możnych niegdyś panów;
Świadczy o tem poczet duży
Wojewodów i hetmanów.
Więc niewiastą jest dostojna,
W ich zapewne idzie ślady,
Dobroczyzną jest i hojną,
Jako były jej pradziady. —
Jeśli znacie się z Pomoną
W jej przybytki wejdźcie w lecie,
Tam nadobne, mnogie grono
Wychowanek jej znajdziecie.
Są tam wzrostem okazałe
I zalety mają liczne;
Szaty złote, szare, białe
I nazwiska zagraniczne.
Między nimi jest i ona,
Z dawna w kraju tu chowana,
I ceniona, i lubiona,
I powszechnie u nas znana.
Dobra, słodka w równej mierze,
Wzrost ma średni, pozór gładki,
A nazwisko swoje bierze
Od naszej arystokratki.

II.

Wyrazów 9. Początkowe litery czytane z góry na dół utworzą nazwę święta najuroczyściej obchodzonego.

Sylaby: Ol-tów-a-lom-bel-bry-sław-szy-le-cze-za-ry-pa-na-e-la-ka-wa-o-bo-žu-chy-i-me-za.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Imię męskie.
- 2) Miasto powiatowe.
- 3) Zwierzęta żyjące w puszczy Białowiezkiej.
- 4) Imię żeńskie.
- 5) Kraj słowiański.
- 6) Imię żeńskie.
- 7) Cześć świata.
- 8) Miasto gubernialne w Królestwie Polskiem.
- 9) Drzewo.